



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Książki dla dzieci i młodzieży.

Książki dla dzieci i młodzieży stanowią w piśmiennictwie każdego społeczeństwa dział bardzo ważny ze względów tych, które w wychowaniu pominiętemi być nie mogą, bo umysł młody, zwłaszcza z pewnym zasobem inteligencji, ma już pragnienie wiedzy życia, rozjaśniającej nam życie tego drogi, a książki powinny zarazem wyrabiać w istocie młodej ten smak dobry, przez który piękno przedstawione w czynach i dążeniach szlachejnych, daje nam wysoką rozkosz duchową, podnoszącą nad niską sferę materialnego tylko istnienia. Rozbudzone poczucie piękna wytwarza więc siłę wielkiego znaczenia, nie pozwalającą nam przyłgnąć całą istotą naszą do ziemi, zatem to, co dziecku do czytania podajemy, ma wagę wielkiego znaczenia. Świat głębszych uczuć i myśli jest jeszcze dla dziecka tego zamkniętym, przecież umysł jego wybiega już po za materialny jedynie tor istnienia, bo dziecko to czuje już i myśli, zatem warunki, jakich żądamy od książki, przeznaczonej do czytania dla dzieci, powinny opierać się na tem, aby ukazywały w obrazach tam malowanych przymioty te umysłu i serca, jakie pragniemy widzieć najpierw w dziecku, a następnie w człowieku.

Książka, przeznaczona na ten cel, powinna też być środkiem pomocniczym w wychowaniu; powinna rozwijać umysł młody i zarazem kształcić uczucie, wykazywać potęgę myśli, która trzyma ster naszego istnienia, zatem potrzeba tu czynić wybór uważnie, a należy to przedewszystkiem do matki i nie myli się bynajmniej pisarz niemiecki, Falke, wyrażając to zdanie, że „kobieta jest w życiu domowym panią, bo gdy mężczyznę powołuje praca

jego po za ściany tego domu i trzyma go w sferze myśli i obowiązków życia innych, ona tu gospodrzy i jest duchem ożywczym rodziny.“ Zadaniem matki jest więc i wybór książki dla dziecka; wybór starannie dokonany, bo jeżeli pragniemy prawdziwego rozwoju szlachejnych pojęć i myśli w społeczeństwie, trzeba aby rodzice poczuli się do prawdziwego spełnienia obowiązków swoich względem dzieci.

Że niemal każda matka chce wychować dziecko swoje dobrze jest rzeczą nie zaprzeczoną, niechże więc uważnie śledzi, co tu powinno być danem dziecku do przetworzenia się w jego uczucia i poglądy. Pierwsza pora budzenia się działalności umysłowej w człowieku jest jakoby wiosennem kiełkowaniem w naturze, świat pojęć idealnych zaczyna się dopiero otwierać przed istotą młodą, trzeba też poddawać jej te myśli szlachejne, które mają się wcielić z czasem w czyny, lecz nie dość tu jest dać dziecku z tą myślą dobrą książkę do czytania, bo ono jeszcze nie rozumie różnych praw życia ludzkiego, nie wie dostatecznie, co tu złem być może i wspomagać też należy te pierwsze pojęć jego kiełkowanie rozmową o tem, co przeczytanem było, bacząc bardzo na to, co z tego najmocniej utkwiło w myśli, poruszyło uczucie.

Najlepszym podarkiem jaki dziecko otrzymać może jest książka, trzeba też matce troskliwie dobrej znać literaturę dla młodego wieku, bo należy jej wiedzieć, co tu ma wybrać odpowiadającego skłonnościom i kierunkom umysłu dziecka, świadomość tego niemal do obowiązków macierzyńskich zaliczać się powinna, a już ukazywać się zaczynają nowe wydawnictwa z tego zakresu. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszło ich obecnie kilka. Teresa Jadwiga skreśliła dwie powieści historyczne dla starszych dzieci, ozdobione rycinami: „Z obcych dziejów“ i „Ocaliła.“ Pierwsza ukazuje młodemu czytelnikowi świat mało mu znany, na placu miasta Kordawy Maurowie sprzedają niewolników: kobiety i mężczyzn, a między nimi jest para jasnowłosa:

chłopiec około lat siedemnastu i siedmioletnia dziewczynka, siostrzyczka jego Dziwa, która omdlewając ze znużenia leży na bruku. Losy tego rodzeństwa stanowią powieść barwną i oryginalną; wzięci w niewolę przez Niemców, którzy napadli ich ziemię rodzinną, zostali sprzedani Grekom, a ci z kolei odprzedali ich Turkom, którzy przecież łagodnie obchodzili się z nimi, lecz ostatecznie rzecz się kończy bolesnym dramatem, bo oboje rodzeństwo ginie śmiercią okrutną i choć powieść zaciekawiać może młodego czytelnika, nie ma tu żadnej myśli etycznej, a nawet okrutne sceny, które przedstawia nie w walce o dobro i obowiązek, mniej się nadają do czytania dla młodzieży.

Druga z kolei powieść „Ocaliła“ przedstawia smutnie bolesne sceny z dziejów rewolucyi francuskiej, a jej tendencją jest rozumne wykazanie młodym czytelnikom, że jak kto sieje tak zbiera. Postacią główną w powieści jest młoda panna dobrego serca, której łagodność, dobroć i miłosierdzie nad biednymi uratowało nietylko życie jej samej, ale i rodziny, bo wdzięcznie odplacono jej to że umiała czuć w każdym człowieku bliźniego—umiała szanować w każdym godność ludzką.

— *Przygody i opowiadania misjonarza*, z którym spotkał się w Afryce podróżnik nasz, Rogoziński i nazywa go w liście pisanym do autora książki, dzielnym człowiekiem. W ostatnich dniach grudnia 1880 r., szlachejny ten sługa boży wyruszył z Kairu, towarzysząc biskupowi Comboni, a gromadkę tych wiernych składało jeszcze dwóch misjonarzy i kilka męnych niewiast, zakonnice. Po kilku miesiącach podróży dotarło do Chartumu, gdzie wznosi się dom misji na wysokim brzegu Nilu wśród przepięknych ogrodów i bujnych gajów daktylowych. Opisy natury i jej zwierzostanu, opisy życia i obyczajów mieszkańców, skreślone są bardzo zajmująco, a zarazem tak, że młody czytelnik nietylko znajdzie tu wiele rzeczy, które go bardzo zainteresują, ale zdobędzie sobie pewną wiedzę o tej dalekiej krainie i ludach, które ją zamieszkują,



a przykłady męstwa i wytrwałości wśród złej doli podniosą w nim ducha, a zarazem ukaza, co człowiek znieść, czego człowiek dokonać może, gdy zarzewa mu serce idea szlachetna. Dla nas historyka misji w Sudanie przedstawia tym silniejszy interes ze względu, że pierwszym w tych dalekich stronach świata bohaterem krzyża, jak się wyraziły dzienniki angielskie, był ksiądz Maksymilian Ryłło, pochodzący ze Zmudzi.

— *Czary i nie czary, fantastyczne opowiadanie dla młodzieży* przez Jadwigę Chrzaszczewską, to szereg obrazków natury żywej i martwej, zapoznających młodzieńców z czytelnikami ze światem otaczającej ich przyrody; rzecz zatem jest zajmująca i pożyteczna przez wiadomości, jakie daje.

— *Odrodzona* przez Cecylię Niewiadomską, przedstawia przygody życia Juli, córki rodziców zamożnych, którą od lat najmłodszych otaczało wszystko, co życie daje szczęścia i przyjemności. Rodzice jej i rodzeństwo kochali ją, dostatek posiadany pozwalał, aby nigdy nie zaznała braków żadnych, lubiła też stroić się i bawić, lubiła czynić się piękną, lecz nikt zgadnąć nie może, co stanie się z nią jutro. Rodzice Juli mieli piękną willę pod Warszawą, gdzie cała rodzina wesoło wpływały ciepłe, słoneczne dni lata, lecz nieraz przewidzieć nie możemy, co nam przyniesie dzień jutrzejszy. Julia spadła z chustawki na kamień i ciężko potłuczona musiała długo, długo leczyć się, a gdy wreszcie wstała z łóżka, dowiedziała się, że jest garbatą, co ciężko dotknęło biedną, a przytem nie mogła już teraz podzielać z rodzeństwem wesołych zabaw zwłaszcza gdzieś w lesie, lub na świeżym powietrzu w ogrodach willi, ale nieszczęście to stało się odrodzeniem jej duchowem. Widząc jak wszyscy troskliwi są o nią, jak są dobrzy i współczują z jej nieszczęściem, a nietylko rodzice i znajomi, ale i służba, weszła w głąb siebie i podnosząc się nad samolubne o samej sobie myślenie — zaczęła głębiej patrzeć w życie, pojmować obowiązki człowieka względem bliźnich i ta ciężka próba losu staje się jej odrodzeniem duchowem. W czasie lata, gdy ludność wiejska śpieszy do roboty w pole, zajmuje się pozostawioną w chatach dźwiatwą, uczy czytać i daje im zarazem wiedzę przeznaczeń człowieka na ziemi i tak rozdając dobrodziejstwa oświaty, dobrodziejstwa podnioslejszego na życie poglądu, udoskonala się sama, znosi mężnie przeciwnictwa losu, pomaga w tem innym tak czynić i otwierają się przed nią coraz to szersze horyzonty życia, serce, które się nie zasklepiło w egoizmie, bije gorąco, a te uczucia szlachetne dają jej polot myśli wyższy, wytwarza to w niej talent literacki, przez który staje się szczęśliwą przebywając duchem w krainie ideału. Obok tego praca jej pióra przynosi zyski materialne, które dzieli się nietylko z rodziną, bo dobroczynna wspomaga nędzę, wspiera słabych na duchu i wstrzymuje ich nieraz od upadku.

Istota tak szlachetna musi też budzić w sercach ludzi uczciwych szacunek, który w jednym ze znajomych jej bliższych zamienia się w uczucie gorętsze, chce uczynić z niej ukochaną towarzyszkę życia, ale ona szlachetnie rozumna, odmawia. Niech zostanie jej przyjacielem, a będzie szczęśliwą. mówi mu i staje się też szczęśliwą przez podniosłość ducha, przez ukochanie dobra i prawdy — piękna moralnego a szczęście to oparte na podstawach takich, to skarb, którego ogień nie spali, woda nie zabierze.

Grupuje się tu obok dziejów tego szlachetnie pięknego żywota wiele postaci sympatycznie pociągających, które urozmaicając powieść, czynią ją dla młodego czytelnika pożądaną i *Odrodzona* zaliczyć się daje do bardzo dobrych powieści dla młodzieży z gorętszym sercem i żywą wyobraźnią.

*Rok życia, dziennik Wandzi i Józsi* przedstawia w opisach swoich młodą, piętnastoletnią dziewczkę, nie mającą już matki, a że jest najstarszą w rodzinie, musi być rozsądną, lecz jest mało rozważną, napadają ją też niesforne wybryki wesołości, gniewające nieraz ojca i niemile jej otoczeniu. Młodsza jej siostra, Józia, poważniejszą jest, roztropniejszą, bo też uczyła się lepiej, dokładniej wszystkiego, co jej zadawano jako lekcję, usiłując brać szczegół każdy na rozum, ją przecież to tylko pociągało, co uderzało żywo wyobraźnię. Postacie takie jak Joanna d'Are, Marya Stuart pociągają ją do siebie, ale brak równowagi nie pozwala jej podnieść się

rzeczywiście do tego, co jest podstawą szlachetnie wiedzonego istnienia. Marnuje życie na marzenia o wielkich ideałach, nie spełniając tymczasem tego, co jest obowiązkiem; gdy młodsza jej siostra, Józia, skromnie, cicho stara się być użyteczną i skutkiem tego nietylko wszyscy ją kochają, ale i szanują, a ona sama czuje się zadowoloną, bo miłą jej jest wioska, w której się rodziła. Jest tu jeszcze starsza od obydwóch siostra, Marya, już zamężna, otaczająca młodsze rodzeństwo opieką swoją osoby doświadczonej i życie ich płynnie spokojnie wśród tych zajęć i prac, zadań życia niby powszednich, które przecież stanowią nietylko o doli i niedoli naszej, bo pozwalają nam zaskarbić sobie tę zasługę, która daje szacunek i życzliwość ludzką. Przyłączają się tu w toku powieści różne poboczne historie krewnych, przyjaciół i sąsiadów, ludu wiejskiego, to wesołe, to smutne, aż nakoniec rozdział ostatni zakończy się miłym obrazkiem tradycyjnego obchodu wigilii Bożego narodzenia i rozumnie tu jest przytoczonym wiersz szlachetnego poety, Asnyka:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,  
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg  
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia  
Coraz więcej dusza rozprzestrzenia  
I większym staje się Bóg.

*Dziennik Wandzi i Józsi* skreślony przez p. Zofię Bukowińską zaliczyć też można do najlepszych podarków wigilijnych dla młodych panienek, które już nie są dziećmi, więc potrzebują zrozumieć życie ludzkie, jego zadania i obowiązki.

*W lecie*, książeczka dla małych chłopczyków przez Maryą Werycho, jest wesoła i przyjemnie zabawi tych młodych czytelników, którzy właśnie zdobyli sobie umiejętność czytania i korzystać z niej teraz będą, aby dowiedzieć się o takiej zajmującej przygodzie, jak walka zbrojnych Chińczyków, inaczej zwanych kaczkami, a dalej o nieszczęściu pewnej muszki, której przytrafiła się przygoda grożąca utopieniem się w kubku mleka, którego zachciała pokosztować. Mieści się tu niejedna taka historia to smutna, to wesoła: o skowronkach, dzierlatkach i innych ptaszkach, o wielkim pomiędzy nimi magnacie bocianie i różnych przedstawicielach ptasiego rodu, fruujących, śpiewających, przechodzących też rozmaite losy koleje, wśród których młody czytelnik pozna Jasia pastuszka, poczciwego chłopczyka, który miał dobre serce i wszedł też w przyjaźń z rozmaitemi przedstawicielami skrzydlatego rodu, dowiedział się też coś więcej o bożym świecie, niż gnuśne dzieci, które nie lubią patrzeć uważnie na otoczenie swoje, nie zdobywając więc sobie wiedzy, która je oświeca.

Potrzeba też jest, aby matki myślały o tem, aby same odczuwały znaczenie wyżej przytoczonego wiersza poety.

M. I.

## POGA WĘDKA.

— Oj, zimno!

— A zimno, panie dobrodzieju. Dobrze jednak futerko, jakie widzę na plecach pańskich, ochraniać go nieźle musi od boreaszowych, a łaskotliwych zacheianek?

— To prawda! udało mi się wykupić je z zastawu. W sam raz miałem pieniądze, bo to tak niespodzianie mrozy ścisnęły ziemię, że człek aż się zdziwił. Dni kilka temu w tył było chłodno, zimno nawet, ale o mrozach nie myślało się wcale. Do świętego Mikołaja daleko, ale może pan nie wiesz, że ludek nasz w pewnej okolicy powiada:

Święty Mikołaj  
Postawi koła —

to znaczy, że sanna się uścieli. Prawda, że na Mazurach nie wiedzą o tem ludowym twierdzeniu, ale ja z innych, z dalekich stron przybysz, przyzwyczaiłem się do tych mniemań i na świętego Miko-

łaja, jak na Zawiszę liczyłem. Nieopatrzyłem nawet okien jak należy, a na kominku, od czasu do czasu tylko kładłem drewna i to nie dla ciepła, ale dla przyjemności. Aż oto, panie dobrodzieju coś się zimno pod wieczór robi i niby mroźki zaczęły chodzić mi po skórze: — „Niedyspozycya,“ myślę sobie, a żona w tej chwili w głos: „Mroź!...“ i pokazuje na szyby. Patrzę — kwiaty. Jak Pana Boga Kocham białe, śnieżne kwiaty na oknach. — Okrutnie lubię te fantastyczne rysunki mrozu i mogę na nie całemi godzinami patrzeć, coraz nowe dopatrując piękności. Tam, na szescian jakaś się palma złamała, tu las paproci rozstrzępił się listkami, dostrzegasz tajemnicze przejścia, bajeczną fantazyę pomysłów. Tak trudno mi jest nieraz oderwać się od tych malowideł, że choć czasami żona trzykrotnie powtarza: „Mężu, daj pieniędzy!“ udaję, że nie słyszę... Aj! co mi się wyrwało! Ja rzeczywiście nie słyszę, zajęty rysunkami mrozu.

Mroź — to trudno! Potrzeba w piecu napalić i z lombardu ciepłe odzienie wykupić. Bo widzisz mości dobrodzieju, ja zawsze tak robię: latem oddaję, co można na przechówek, a pod zimę nazad odbieram. Rozmaicie się radziło, bo kredyt trudny, hipoteka nie pewna, a lombard bez dostatecznego zapewnienia się i dostatecznych procentów pieniędzy nie daje. Te *dostateczne* procenty dla właścicieli prywatnych instytucji onych, były rzeczą bardzo miłą i pożądaną, ale dla interesantów stawały się ciężkiem nieraz brzemieniem, tak, że po cichutku zrazu sarkać zaczęły, co doszło do wiadomości pism, które podniosły sprawę za wielkich odsetków, pobieranych od zastawionych przedmiotów i właściwe poruszyły władze.

Lekko zrobiło się na duszy tych wszystkich (i mojej), którzy w pewnym nieporozumieniu z łaskami fortuny zostają, bo nie zawsze *plus* od *minusa* jest lepszy, w stosunku zaś odsetek lombardom wypłaconym — *minus* wcale ma przyzwoitą fizyognomię.

Lekko więc było na duszy — aż oto, niebywały dotąd strejk nam zagraża. Dotąd strejkowali ci, którym uczeiwa praca niedostatecznie się opłacała: robotnicy więc fabryczni, konduktorzy tramwajów, doróżkarze i piekarze i to nie u nas, ale gdzieś na gruncie zagranicznym — tymczasem tutaj, zabawili się sobie w spiszek ci, którym wcale nieźle na bożym świecie się dzieje. — Ale powiadają — przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Kto brał od sta, procentów — dajmy na to — sześćdziesiąt, temu połowa tej cyfry wydaje się tak lilipucią, że aż mroź w pięty idzie. A zdaje się, że właściciele prywatnych lombardów nie mniejszym pocieszali się odsetkiem. Rozumiem ich niezadowolnienie, uznając zaś moc przyzwyczajenia cierpię nad ich niedolą.

Ale co będzie, gdy w porze letniej, w owym tak nieprodukcyjnym sezonie ogórkowym, zwrócę się o poratunek do mojego futerka?

Zanieść tam, gdzie przyzwyczaiło się dotąd bywać?

Aha! Posłuchajcie, co nam donoszą:

„Właściciele prywatnych lombardów spełnili swoje groźby; odmawiają przyjmowaniu w zastaw garderoby — (szczęściem, że mam ją niezbyt obfita. *Mój własny dopisek*) i innych przedmiotów, z wyjątkiem biżuterii i metalów. (których nie mam. *Także mój dopisek*).

— Niedobrze, — pomyślałem sobie. Ale, nie będąc samolubem, pocieszyłem się zaraz myślą, że inni mieć mogą rozmaite błyskotki, które w ciężkich chwilach żywota, choć chwilową ulgę im przyniosą.

Gdzie tam!

Oto, jednocześnie wszystkie lombardy odmawiają prolongaty fantów, zapowiedziawszy klientom, że z d. 13 stycznia, roku, który już kiwa na nas działalność swoją zwijają. Rodzi się więc słuszne przypuszczenie, że tu już mamy do czynienia z pewnego rodzaju znową, z mierzającą do utrzymania praktykowanej dotąd stopy procentowej przez groźbę zamknięcia formy drobnego wierzycielstwa, gdyż wszystkie odpowiedzi, dawane przez tych panów, brzmią zbyt jednakowo, zapowiadając zwinienie swych działalności.

Co to więc jest takiego — groźba czy spekulacya? Jedni widzą tę pierwszą, inni tę ostatnią, która ma na celu zgromadzenie, przez przymus wykupów, większych zapasów gotówki do walnej kampanii przed świętami.



Nie dziwny się — i to gwiazdka! — Niedaleka przyszłość pokaże, jaką na tej choince świeczkę nam zapala.

Grudzień!

Najprzyjemniejszy to miesiąc dla dziatwy. A co to święty Mikołaj przyniesie, jakimi obsypie podarunkami? Choćby chciała, to nie mogłaby nawet dziatwa, o poezjiwym staruszką zapomnieć, bo w wystawowych oknach wszystkich cukierni, z za szyb dużych nie od dzisiaj już wizerają skrzydlate aniołki, duże wiśnie i truskawki, jabłka i gruszki i orzechy, służące do ozdoby choinek. A spójrzcie tylko do okien księgarń — co tu książeczek przepelnionych rycinami, że aż oczęta malców śmieją się, a w główkach tęczowe płaczą się myśli.

Wpadła mi do rąk książeczka pod tytułem: *Królewicz Kędziorek i Królowna Perelka*, napisana zdolnym piórem Esteji, ilustrowana zaś przez Alfonsa Borkowskiego.

Fantastyczna to bajka zaciekawiająca umysł dziecięcy, napisana doskonale, a więc warta kupu. Ozdabiają ją nie mniej dobre ryciny, przeważnie kolorowane. Lecz nie z tego jeszcze względu zasługuje na pochwałę — jest jeszcze jedno, co konieczne musimy wydawcy za zasługę policzyć.

Z rokiem każdym rozpowszechniają się u nas wydawnictwa dla dzieci. Niech co chcą panowie księgarze mówią, ale to w ich zawodzie kokosowym jest interesem. Luksowne nie raz są te wydania, ale i cena nie codzienna. Przy ogromie zapotrzebowania książeczek takich, wydawnictwa są coraz staranniejsze, a szczególnie część obrazkowa, nie pomacoszemu już jest traktowana. Nakład duży, lecz i pokup duży — mimo to jednak, panowie wydawcy kupują, dobre wprawdzie, lecz zagraniczne ryciny, do których wyrobnik literacki tekst dobiera. Ze w tego rodzaju robotach zachodzi dość często rozdziewiek między treścią a ilustrującymi ją obrazkami — dziwić się nie można.

Bądź co bądź treść musi być swojską, tymczasem rysunek jakimś cudzoziemskim obliczem patrzy. Tak się dzieje przeważnie; dla tanioci zyskują firmy zagraniczne, nasi zaś rysownicy pozabawieni są należnym im roboty. Poczytajmy więc za zasługę wydawcy wyżej wymienionej powiastki, że kierując się innymi względami, po rysunkowe ozdoby nie udał się do klisz zagranicznych, lecz wezwał miejscowe siły.

Innego zupełnie rodzaju, a oczywiście, że i treścią poważniejszą, bo dla dostającej dziatwy już pisaną, jest książka p. n. *Przedziwo*. Nie ma już tam bajek, lecz znajduje się to wrzystko, co może poruszyć uczucie, rozwinąć umysł, zabawić i nauczyć. Najcelniejsze siły literackie złożyły się na ten wspaniały podarunek, dla dziatwy, podarunek, który w każdym domu, gdzie tylko odzywa się śmiech młodzieńczy, poczesne powinny znaleźć miejsce. Tak pięknej książki nie mieliśmy dawno, bo i dobozem artykułów i doskonałością rysunków, jako też wytwornością wydania — śmiało możemy powiedzieć — celuje w tego rodzaju wydawnictwach. Nie mogąc pisać szczegółowego rozbioru, ograniczymy się tylko na pobieżnym przelądzie i porządkowym wymienieniu prac i autorów.

Książkę rozpoczyna wiersz pióra Kazimierza Glińskiego z bardzo pięknym rysunkiem, przedstawiającym rozpacz starego rybaka po zgonie ukochanego syna. Następnie idą: *Skarby pani Skarbnikowej*. Jest to opowieść „z życia poetki XVIII wieku,“ Elżbiety Drużbackiej, skreślona znanym piórem p. Z. Morawskiej. Zaraz potem zaciekawia nas: *Zagadka o cieple i pracy istot żyjących* rzecz poczerpnięta z dziedziny przyrodniczej, nadzwyczaj obrazowo napisana przez Stanisława Kramsztyka. Aż wnet przykuwa naszą uwagę, *Taka sobie bajka* p. Jadwigi Chruszczewskiej, fantazyja o myśli głębokiej, ozdobiona ładną ryciną. Następna stronica wita nas podobną wieszczą z Czarnolasu i doskonałym studium „*O Trenach Jana Koohanowskiego*,“ tłumaczącem młodzieży na czem polega piękność tych pieśni smutku. Autorem jej — Walery Gostomski — to dosyć. *P. Jadwiga Warnka* każe nam podróżować z sobą, — jej „*Wycieczka na Zelandyę*“ jest w całym znaczeniu tego słowa doskonałym obrazkiem. Bardzo ładną też powiastką obdarza nas p. Cecylja Niewiadomska, a oto wita nas „*Dziedzina wiecznych śniegów i lodów*“ skreślona znanym piórem Wacława Nałkowskiego. Ale po tej podróży

wśród lawin i śniegów, jak dobrze jest ogrzać się przy ciepłe poezji. „*Co ja kocham?*“ pyta Zosia przez usta p. Maryi Konopnickiej i daje przesłizne odpowiedzi. Nie brak i humoreski — a od czegoż jest Jordan?... więc rozśmiesza nas „*Ostatni strzał*“ ale nieże czasami i ulecieć na skrzydłach fantazyi. P. Wł. Umiński podjął się tego zadania i dokonał go z właściwym sobie talentem. Ruszamy drogą nadpowietrzną z Warszawy do Konstantynopola i tysiąc doświadczyliśmy przygód à la Jule Verne. Dwa obrazki ilustrują tę *fantazyję z przyszłości*. Dalej, poważnym piórem a przystępnym dla młodocianych umysłów, Jan Karłowicz podaje rzecz o buddyzmie, w obrazku zatytułowanym: *Podanie o królewiczu indyjskim*. V. Cairo nęci nas barwnym obrazkiem: *Bez*, noszącym nadpis, poczem znów budzi zajęcie nasze naukowy traktacik p. Brzezińskiego p. t. *Owady i ludzie*. Dla odpoczynku dziecinnego umysłu idzie zaraz powiastka Teresy Jadwigi, poczem znów umysł się skupia nad artykułem Halperna z dziedziny biologji, ozdobionym litografowaną, kolorowaną tablicą, na czem kończy się misternie snute *Przedziwo*. Dodajemy jeszcze, że prócz wymienionych drzeworytów w tekście, książkę zdobią nadto cztery duże drzeworyty, wykonane bardzo ładnie, wplecione oddzielnie do książki.

Chęć nawet coś zarzucić, nie mamy nie do zarzucenia temu wydawnictwu. Układ doskonały, poezya i proza, rzeczy poważne i lekkie mieszają się z sobą — a dobre ryciny, druk czytelny, papier piękny i okładka przesłizna — dopełniają całości tego prawdziwie złotemi nitkami snującego się przedziwa. Wdzięczne nam będą czytelniczki „*Bluszczu*“ te, które na gwiazdkę poeiechom swoim uciechę chciałyby sprawić — gdy pójda za radą naszą i do innych podarunków dla dziatwy swojej wprzędą i ten, o którym tylko co wspomnieliśmy. Powtarzamy raz jeszcze, niepowodowani żadnym interesem, że — tak dobrej książki nie mieliśmy już od dawna.

A teraz obejrzyjmy się po Warszawie.

Co słychać?

— A o czem chcielibyście wiedzieć, szanowni państwo?

— Powiedz nam, panie kronikarzu coś pewnego choćby o Dolinie Szwajcarskiej, w której, w ciągu lat tylu, przepędzaliśmy miłych chwil niemało. Pod toporami nielitościwej ręki ludzkiej już padły drzewa pięknego ogrodu, zniszczone zostały budynki wszystkie a miejsce zabaw służyć ma za tor łyżwowy podczas zim mroźnych, latem zaś mają panowie cykliści sport swój uprawiać.

Czy to prawda?

Więc już dźwięki muzyki nie poruszą tam ech śpiących? symfoniczne koncerty nie pociągną melomanów? nie odezwie się już, ani nam tak dobrze znajomy Sonenfeld, ani orkiestra w białych sukmanach o wyłogach amarantowych? — I to wszystko ma być prawdą?

A czy ja wiem!

Łatwiej przeniknąć tajniki gabinetów zagranicznych, aniżeli coś pewnego w tej materji się dowiedzieć. Jedni tak, inni owak mówią, każda nowa wiadomość dawniejszą wypiera. Już piękna dolina, jako miejsce zabaw, straconą być miała dla publiczności wedle rozmaitych doniesień reporterskich, gdy oto czytamy w jednym z pism, że aktem rejentalnym sporządzonym w ubiegłą sobotę przed p. rejentem Landauem sprzedaną została Dolina Szwajcarska pp. budowniczym: Gustawowi Szmejkę, adv. przys. Stanisławowi Patkowi i bndownicemu Władysławowi Kozłowskiemu, członkom Tom. łyżwiarskiego za sumę rs. 95,000. W brew jednak krążącym pogłoskom ma być i nadal utrzymany dotychczasowy charakter Doliny. Letnią porą znajdzie się tam ładnie urządzone miejsce dla koncertów i balów, w zimie zaś funkcyonować będzie wzorowo urządony tor łyżwiarski, którego otwarcie zapowiadają w tych dniach.

Takie są wieści z dni ostatnich — ale jak będzie w rzeczywistości — zobaczemy niebawem.

Dokonaną też została sprzedaż dawnego pałacu Tarnowskich, który ostatnimi czasy był własnością p. Barbary Górskiej. Dom ten na Krakowskim przedmieściu, oznaczony N. 44, mieszczący obecnie

biuro Banku dyskontowego, nabyła spółka z trzech osób złożona, między którymi znajduje się muzyk Ignacy Paderewski — za sumę 300,000.

Bank dyskontowy zostanie nadal w swem dotychczasowym pomieszczeniu frontowym, na placu zaś z tyłu posesyi od ulicy Karowej, rzeczona spółka wzniesie zamierza budynek na pomieszczenie panoramy Styki „*Golgota*“. Prócz tego utrzymuje się dawny projekt zbudowania wielkiej sali koncertowej, ogrodu zimowego i t. d. Znajdujący tam się ogród ma być doprowadzony do wzorowego porządku, a zważając, że z tej miejscowości rozciąga się wspaniały widok na Wisłę, cieszymy się nadzieją, że przybędzie Warszawie przesłizny kąs jeden.

W tych dniach odwiedziliśmy w pracowni Żmurki wspaniały jego obraz wielkich rozmiarów, noszący, zdaje się, tytuł: „*Siedm grzechów głównych*“.

Przez morze, kołyszące się ociążałami już falami, które jest emblematem życia, przepłynął starzec okryty szatą purpurową i usiadł nad brzegiem w zadumie wielkiej, oparty o pień strzaskanego piornem drzewa. Myśl jego płynie w przeszłość przez to morze przebyte, po za którym zostało wszystko; wzywa on pamięcią swe lata młode, przywołuje chwile rozkoszy. I oto na falach wiatru czas płynie, a za nim dążą widma czarowne: grzechy wędrowca. Wstrzymuje się przed nim siedm postaci niewieścieh, którym on w dniach młodości ofiarne palił kadzidła. Na pierwszym planie stanął grzech ponętny i wabi nagością ciała, rozkoszne lenistwo w sennej u stóp rozłożyło się pozycyi, wspaniała pycha stoi za niemi i rozpoczyna innych grzechów korowód. Obraz jest piękny i robi duże wrażenie, — malarz rozstał się tu ze swoim zgniłym kolorytem i zabłysnął wspaniałością nieporównaną barw. — Pomimo tego, wadliwy jest w niektórych miejscach rysunek figur pierwszoplanowych. Prześlizne lenistwo ma nieco w biodrach prawą nogę okaleczoną, wysunięcie też lewej jest niezrozumiałe, grzech zaś rozkoszy nazbyt wydętem, bez wgięć właściwych niewieściej kibici, grzeszy łonem. Ach, gdyby nie tych błędów parę — do arcydzieł zaliczyć możnaby było to dzieło ostatnie malarza.

??

## Od kolebki do mogiły.

Od kolebki do mogiły

Jedna długa droga,

Cierpieć, walczyć, żyć uczciwie

Każe wola Boga.

Czy kto prędzej, albo później

Do brzegu dopłynie,

Gdy ma w piersi serce czyste

Nie zginie! nie zginie!...

Od kolebki do mogiły

Jedna wszystkim droga,

Iść jej szlakiem zawsze prostym

Każe wola Boga.

Czy kto złotą miał kolebkę

Czy śpi w srebrnej trumnie,

Trzeba niemniej by przez życie

Szedł prosto i dumnie.

Jakiem było jego życie

Taką i zapłata,

Bóg obliczy mu dorobek

Zebrany przez lata.

W łono ziemi rodzicielki

Ludzie trumnę złożą,

Lecz duch ujdzie gdzieś daleko

Przed obliczność Bożą



Zanim przecież w łonie ziemi  
Odpocznie spokojnie,  
Musi walczyć, cierpieć, kochać  
I pracować znośnie.  
Wielka chwila! ach! któż Panie  
Przed nią się nie strwoży?  
Któż spokojnie księgę życia  
Przed Tobą otworzy?

Jadwiga S.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

# KLESKA.

POWIĘŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Gdy stary Malecki oprzytomniał z doznanego wzruszenia, jakie na nim uczyniły krótkie, ciche, drżącym głosem wypowiedziane słowa panny Malwiny—już ją okrył kłęb kurzu, po rwącym się tylko tętentem kopyt końskich znać było, że gnała szybko, pozostawiając pana Krzysztofa w otumanieniu jakimś, z którego na razie sprawy zdać sobie nie umiał.

Miłość?

A toć przecie za wielkie, za święte słowo. Z jaką jednak szybkością objęła ona te dwa serca, bo nie wątpił, że pomiędzy Andrzejem a tą szaloną dziewczyną coś zaszło, czego wymarzyć nie mógł, co przekraczało sferę jego rozumienia.

Pan Krzysztof nie mało lat przeżył i o różnych miłościach słyszał. Jedne rozwijały się w sercach powoli, dzień po dniu, pozwalając młodym bliżej zapoznać się z sobą i przypatrzeć się lepiej. Wiedzieli o tem rodzice, choć udawali, że o niczem nie wiedzą; najczęściej po roku, ba! nawet i po paru latach, młodzieniec, widząc, że panna nie sprzykrzyła się a i on jest zawsze gościem mile widzianym—posyłał swatów, którzy rzecz całą doprowadzali już do końca. I wszystko szło, jak Pan Bóg przykazał: zaręczyny z księdzem, później ślub—oczywiście, że z księdzem. Trafiały się także inne miłości, o których później ludzie ukradkiem się dowiadawali—ale te zawsze były obrazą Pana Boga. Bogate panny, nieraz z nudów, bałamuciły ubogich młodzieńców, przygadnie tu lub tam spotkanych, ostatecznie spotykała tych ostatnich dekonfitura, zapóźno się przekonywali, że byli lalkami służącymi do chwilowej zabawy rozkosznie.

Czy taką lalką ma być i jego Andrzej?

Stary sapał ciężko, a myśli czarne kotłowały mu w mózgu.

Andrzej?

O! jakimi oczyma patrzył on na tę dziewczynę czarodziejską.

Nie! Andrzej głupią lalką nie będzie. Rozkochać się może, jeżeli już nie jest rozkochany—lecz umrze prędzej, niżby się miał na śmiech ludzi narazić.

Ale—cóżby oznaczać miały słowa panny Malwiny skierowane do niego właśnie, który jest ojcem Andrzeja?

„Ja syna pańskiego—kocham!“

Drżały jej usta, drżała pierś, drżała ręka, którą na ramieniu jego położyła.

Staremu się w głowie mieszało: to wyznanie było zbyt proste, ażeby szczerem nie było.

Ale Baczyński i on, pan—i ubogi, zagrodowy szlachciec! Tam stara się graf o rękę bogatej dziewczynki—a tutaj?...  
Niechby nawet powaryowali: syn jego i Baczyńskiego córka—do czegożby to jednak wszystko doszło? Świat tamten ma dużo warunków, któreby

pozwołyły o niejednem cierpieniu zapomnieć—a tu, niezabliźniona niczem została rana. Już on Andrzeja i tak skrzywdził, rozszerzając pole jego umysłowego widzenia; już syn ten przewalczył ból jeden, z uśmiechem na ustach spotykał się ze swojemi sąsiadami z przeciwka, z lekkim sercem szedł w pole z kosą, nie dlatego, by wyręczyć się kim nie miał, lecz dla tego, by doń bracia sąsiedzi przylgnęli. I—zapanował nad sobą, zapanował nad nimi. Stał się dowódcą ich, nauczycielem, budzi-cielem dusz i serc śpiących. O ożenku nieraz też mówił. Jeszcze nie przylgnął do żadnej, ale patrzył, wybierał i pogodził się z myślą, że tu lecz nie gdzieindziej na żonę mu dziewczkę wziąć potrzeba. Byłaby dobrą była i ładną, bo on koniecznie chciał ładnej. Pietrusiewicz ma córkę jedną i jest posiadaczem, największego kawałka ziemi, po Maleckim, w Szlachtówce. Pan Krzysztof zauważył, że nieo-bojętnem okiem na jego Anderka spoziera panna Petrusia. Zrazu mu się niepodobala, ale powoli przyzwyczajając się do niej począł. Dwa ładne kawały ziemi obok i dziewczyna nie brzydka: zanadto wykrochmalone spódnice tylko nosi, ale robi tak, jak Anderek zechce, bo ma się ku niemu. Mniejsza zresztą: Pietrusiewiczówna czy Wyżanka—lecz spokój byłby i błogosławieństwo Boże.

A teraz?...

On nie wie nic, nie rozumie. Pamięta tylko wciąż spojrzenie Andrzeja, i jej spojrzenie. Dwa błyski, dwa ognie, dwie dusze złane w jeden promień, który rozzerwać już dziś może za trudno by było.

Oczywiście, gdyby Malwina nie była Baczyńskiego dzieckiem, cóżby miał do niej? Ale tak, jak jest, szaleństwem tylko jest—które musi się skończyć upokorzeniem biednego szlachcica. Wypiesz-czone dziecko pańskie, młode, bez żadnego wychowane hamulca—poszaleje i przeszaleje, lecz Andrzej nie jest dzieckiem i jego miłość nie spali się, lecz spalić może. Potrzeba od razu wrzód wyciąć, dopóki całego nie ogarnął ciała. Pan Krzysztof drżał na myśl tej wiwisekcyi—ale innej rady nie było.

Pechylony i smutny, zgnębiony i jakby postarzały wrócił do swojej sadyby i kierował kroki do pokoju syna. Nie mógł iść cicho, bo kulą stukał, posły-szał więc chód starego, Aleksy—i wyszedł na przeciw.

— Jak się ma Andrzej?—zapytał Malecki.

— Gorączki dostał—odpowiedział Chostyna—ale zdaje się, co to nic. Doktor mówił, co gorączka być musi—no, i jest!... Uprosił ja Anderka, żeby rozebrał się i do łóżka położył—zrobił to i gadać zaczął...

— O czem gadać?—zapytał szybko pan Krzysztof.

— Siadaj no, Malecki—coś ja tobie powiem—

Usiedli—a Chostyna mówił:

— Ty nie zupełnie akuratnie z panną Baczyńską postąpił—ot co!...

— Musiałem—odpowiedział stary.

— Anderek ma żal do ciebie i—i—czy wiesz, co to mu może poszkodziło.

— To?—rzucił pan Krzysztof. — A już by Bóg mnie zanadto ukarał, gdyby przeze mnie miał się z chorobą borykać.

— I czego ty chciałeś od panny Baczyńskiej? bo ja nie nie rozumiem. Przyjechała podziękować Anderkowi, dowiedzieć się, czy jemu jakie nieszczęście nie stało się—a ty?

— Czy nie nie widziałeś?—zapytał pan Krzysztof.

— No?

— Nie widziałeś, jak oni patrzyli na siebie?

— Co prawda, to nie widział, bo ja patrzył na przeciwne podwórko, gdzie Jagna kręciła się.

— To nie gadaj nic, a ja nie mógł inaczej zrobić—

Chostyniecki łeb spuścił i mruzcąc coś zaczął pod nosem. Domyślił się łatwo, co stary ma na myśli—lecz sam nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć, gdyby z wyraźniejszymi słowami do niego się zwrócił. Siedział tak chwilę w milczeniu, wreszcie wstał i zajrzał do pokoju Andrzeja.

— Śpi, — odezwał się przyciszonego głosem. — Połóż się i ty Malecki, bo ty po obiedzie na pół godziny do poduszki przytulić się lubisz—a przy Anderku ja już zostanę sie.

— Poczciwys, — rzekł stary. Podał dłoń Chostynie i udał się na poobiedni spoczynek.

Wieść o wypadku, jaki Andrzeja podczas wczorajszej burzy spotkał, rozbiegła się szybko po sąsiedzi i zaniepokoiła poczciwe serca sąsiadów. Jagna była przerażona, dziesięcioletni brat jej Janek, w którym Andrzej następcę swojego widział, nieustannie z łez ocierał oczęta i raz wraz przybiegał do Chostyna z zapytaniem o zdrowie chorego; nie tylko brać szlachecka ale i chłopi jarneńscy, o ile czas pozwalał, boć to w polu roboty było nie mało—szli do pana Krzysztofa na zwiady, różne ofiarując mu usługi. Panna Petronela wrzasnęła z przestachu i mówiła sąsiadkom, że „zemgłała“ razy szesnaście, co przed panem Krzysztofem potwierdził stary Pietrusiewicz, robiąc znaczące ruchy ramionami i głową. Ale najważniejszym wypadkiem dnia tego: było niespodziewane zjawienie się u pana Krzysztofa panny Baczyńskiej.

Nikt nie znał głównej przyczyny wypadku Andrzeja—wiedziano, że Maleckiego z Baczyńskim żaden stosunek nie łączył, że dziedziczka nie znała nawet Maleckich, nagle ujrzeli ją siedzącą na krzysztofowym ganku, dostrzegli nawet, jak drobne rączki do pana Andrzeja przeciągnęła. Dziwowali się wszyscy, jedna panna Petronela tylko uczuła złość w sercu.

Poczciwy Aleksy nie opuszczał chorego i zapowiedział, że nie opuści dopóki Andrzej nie wyzdrowieje. Jak nianka więc siedział przy nim, robił okłady, badał puls—kazał nawet sobie posłać w pokój Andrzeja, by przez noc całą czuwał nad nim.

Z jednej strony było to poświęcenie pewne, lecz bądź co bądź wynagrodzone sowiec bliskim sąsiedztwem Jagusi. Chostyna zadurzył się w dziewczynie i grzeczności jej gadał, na które ślicznym odpowiadała rumieńcem. Dziewczyna nie raz po same czerwieniła uszy, gdy nie mogła się wykręcić od pocałunków, które rozogniony pan Aleksy na łapki jej składał, a raz nawet do samego łokcia pomknął, tak mu jakoś cudownie zrobiło się w sercu. Ale dziewczę gniewną nie patrzyło minką i znów nie wydzierało się tak bardzo, ażeby Chostyniecki, przy pierwszej nadarżającej się zręczności, nie mógł swojego doświadczenia powtórzyć.

Aż oto wypadek z Anderkiem pomieszał mu nieco szyki. Marzył, że dzień cały u Banasiewicza przepędzi, tymczasem po wizycie panny Malwiny, po tem spojrzeniu, które przestraszyło pana Krzysztofa i zmusiło go do wiadomego postępcu—Andrzej gorączkować zaczął; pod wieczór puls się stał szybszym, temperatura krwi się podniosła—i zaczął mówić bez sensu, a z pod obwiązki pokazała się krew.

Doktor przewidział ten wypadek, bo uderzenie było potężne, a choć czaszka okazała się nie nadwężoną, silne mogło jednak być wstrząśnienie mózgu, grożące nawet zapaleniem. Nie brakło więc zapobiegawczych środków, których zastosowaniem Chostyniecki zobowiązał się zająć.

Wywiązywał się z zadania doskonale—ale raz w raz wyziera przez okno na podwórze Banasiewicza.

Przed wieczorem Andrzejowi stało się gorzej—dowiedział się o tem Janek i Jagnie doniósł. Chostyniecki, biegł po lód do piwnicy i spotkał w progu sieni Jagusię.

Uradował się.

— A dokąd panna?—zapytał.

Jagna spuściła oczy ale odpowiedziała śmiało.

— Pomagać panu w pilnowaniu pana Andrzeja—bo pan się zamęczy.

Chostyna o mało jej nie ucałował—lecz śpieszyć musiał.

— Dobrze, panno Jagusiu, to po krześciańsku... Jak sie we dwoje wezmieni do Anderka, to on musi wyzdrowieć i pobłogosławić nas—

Niechęcy wyrwało się mu to słoweczko, aż się nastraszył. Strapiiony trochę, spojrzął na dziewczynę, lecz nie takiego nie zobaczył, coby go zaniepokoić mogło. Przeciwnie—Jagna nie spuściła oczu nawet, zarumieniła się—to prawda, ale patrzyła mu w źrenice swojemi bławatkami i uśmiechała się przyjemnie.

— Jagusiu—dobrze—szepnął Chostyniecki.

— Dobrze—odszepnęła.

— To znaczy się, co mnie lubisz?...



— Lubię— ale pan Andrzej mówił, że trzeba mówić: kocham!

Chostyna porwał ją w objęcia i całować zaczął.

Nie bronila się— tylko rzekła:

— A lód dla pana Andrzeja?

— Oj, i mnie lodu potrzeba, — sapał Aleksy — ale lece —

— Nie—ja pobiegnę, pan niech idzie do pana Andrzeja.

— Matko Najświętsza, jak ona mnie w serce wlała, — szeptał Chostyna, idąc do pokoju gdzie leżał chory.

Szczęśliwy był—cały wieczór z Jagusią przepędził.

Rzeczywiście—znalazł dobrą wyęcicielkę— Do niczego nie pozwalała tknąć się Chostynie, sama wszystko szybciej i zręczniejsz robiąc. Aleksy biegał tylko za nią oczyma, patrzył na wdzięczne ruchy dziewczęcia szeptał do siebie:

— Jak Pana Boga mogę kocham—ja się wścieknę!

Około godziny dziesiątej wieczorem, przybył ksiądz Ambroży i Lipa. Pierwszemu zajęcia kościelne, drugiemu całkiem innej natury, niepozwołyły przyjść wcześniej. Wiadomość jednak, która do nich doszła zaraz nawet po wypadku, nie miała nic w sobie groźnego—dopiero teraz o pewnym niebezpieczeństwie mowa być mogła.

Zasmucili się, widząc pochmurną twarz pana Krzysztofa, który tylko co wyszedł z pokoju syna pod przygnębiającym wrażeniem majaczeń jego: Parę razy wymówił imię panny Baczyńskiej—parę razy jej oczy do gwiazd porównał i szeptał jakieś słowa miłosne, to usprawiedliwiał przed nią postępki ojcowski. Mówił bez związku—lecz z tych słów poplątanych bezładnie, można było sens wyrozumieć, który był objawem uczuć nurtujących w jego duszy, sens, który napełniał trwogą serce pana Krzysztofa...

— Kłeska! — szeptał—wychodząc na spotkanie proboszcza i Lipy.

— I jak to się stało?—pytał proboszcz, siadając przy stole w jadalnym pokoju.

— Usiłował się ze skały—wczora, w nocy, podczas burzy,—odszedł Malecki.

— No—ale co panu Andrzejowi zrobiło się, co un w nocy na skałę łaził?—cmokał Lipa. — A czy un panu Krzysztofu nie mówił, czego łaził?

— To już mniejsza—słowem, że nieszczęście się stało—

— To pan mówi, co un ma łeb, taki dobrze rozbity?

— Przecie leży.

— I gorączka ma?...

— Nieprzytomny nawet jest teraz.

— Gada?

— Bez sensu—

— A co un takiego gada?

— Jakże można panie Lipo zrozumieć, co chory gada?—odezwał się proboszcz. — Bredzi—zwyczajnie chory—ale w Bogu nadzieja, że niebezpieczeństwo minie; młody—więc niejedno to przeniesie, co dla nas smutny zwiastowałoby koniec.

Pan Krzysztof czoło miał ku ziemi schylone i milczał. Ksiądz ujął go za rękę i rzekł:

— Bądź dobrej myśli, mój Malecki. Pan Bóg takich, jak ty—nie karze!..

— Ale potem może inna choroba się wywiązać—straszniejsza!—szepnął pan Krzysztof.

— Jaka?

Stary milczał.

— No—jaka?—nalegał proboszcz.

— Potem księdzu powiem,—rzekł cicho—a głośno:—Czy byłeś, Lipa, we dworze?—spytał.

— U Baczyńskich?

— No—tak!

— Abo co?

— Chciałem wiedzieć co tam słuchać?

— Co ma być słychać? choć ja nie był, to wiem—że nie nie słychać. Graf wyjechał, i zdaje się co wyjechał z dobrą skutecznością.

— Już to Baczyński nie dobry wybór zrobił — rzekł proboszcz. — Ale o ile znam Malwinę—to jej wybór na pana Izzydora nie padnie.

Malecki wpatrzył się w księdza—może rzuciłby jakie pytanie, lecz wszedł Aleksy, z wiadomością, że chory uspokoił się nieco.

Po półgodzinnej gawędzie, Lipa pożegnał się i wyszedł, miał iść i ksiądz, ale go stary zatrzymał i prosił, by po ogrodzie z nim się przeszedł. Pan Krzysztof powiedział proboszczowi wszystko, wyśpiewał się z myśli trapiących i prosił o radę.

Ksiądz wielkim znawcą był ludzi. O jego uszy obijały się tajemnice różnych grzechów ludzkich, oszalałe serca szukały ratunku, zgnębione dusze spokoju. Znał on wypadki takie o jakich nie śniło się ludziom ślizgającym się po powierzchni życia—i—nie znalazł słów pociechy dla pana Krzysztofa.

Malwina—to dziecię fantazy i kaprysu, o sercu zaenem lecz krwi nadto gorącej. Takie natury umieją kochać, a przywykłe od dzieciństwa do rządzenia sobą—opra się wszelkiemu naciskowi, przeciwnie nawet, nacisk każdy tem silniejszy opór wywoła. Andrzej ma energię męzką, umysł głęboki, lecz co w serce jego wpadnie—zapadnie już na dno same. Rozum i wiara mogą go od rozpaczliwego powstrzymać kroku—lecz smutek wiecznym towarzyszem mu będzie. Przerwanie tego stosunku od razu, tak jak to chciał pan Krzysztof—dobrym mogłoby być środkiem—ale, czy rozłączeni nie znajdą spotkania się sposobu? Ksiądz Ambroży znał lepiej potęgę miłości, niż o niej mógł sądzić pan Krzysztof Malecki. Rzekł więc tylko:

— Co powie Andrzej—a wtedy—pomówimy.

Z temi słowami pożegnał zbiedzzonego ojca pana Andrzeja.

Nazajutrz Andrzej czuł się zupełnie prawie dobrze—gorączka minęła, tylko jakiś niepokój znać w nim było. Pan Krzysztof usiadł przy łóżku syna i rzekł głosem, w którym przebiła się błagania rzeźna nuta—

— Masz żal do mnie, Anderku?

Andrzej ucałował rękę rodzica.

— Trochę—trochę—choć zrozumiałem ciebie mój ojeze! Nie zaprzeczę, że oczy panny Malwiny powiedziały mi coś takiego, od czego obłąkania zmysłów można dostać, nie zaprzeczę, że te oczy na zawsze utkwily mi w pamięci... Ale—gdybym kochał... Nie! będę mówił tak—jakbym kochał... Więc—kocham!.. Czyż mogę marzyć o tem, by ona mnie kochała? A gdyby i tak było—tobym przed nią nie przyznał się do tej miłości—a gdybym nie miał się do niej przyznać, bo wzrok, głos, serce by zdradziło... to sambym jej powiedział o dzielącej nas na zawsze przepaści. Zresztą—z mojej strony może być miłość tylko—tam... nie! Postępek twój—był może konieczny... nie wiem! ale za bolesny—dla mnie, za upakarzający—dla niej...

— Przeprosiłem—rzekł Krzysztof.

— I ona co ci powiedziała?—zapytał szybko Andrzej.

Stary spasośniał a później zbladł, jak trup.

— Mój—ojeze... powiedział — zawołał Andrzej, zrywając się z pościeli.

Pan Krzysztof nie wiedział, co począć. Ale pomyślał: gdy powiedziała jemu, nie zawaha się potem i jego synowi powiedzieć... I tak się będzie snuła ta nie złota, dla niego czarna—w nieskończoność okropną. Przed synem dotąd nie nie ukrywał i teraz niech wie prawdę, z człowiekiem nie z dzieckiem mówi—więc, gdy Andrzej raz jeszcze odezwał się głosem zmienionym dziwnie:

— Ojeze—błagam!

Stary rzekł:

— Powiedziała mi szeptem: Ja syna pańskiego kocham!

Dreszcz przeszedł przez ciało Andrzeja, oczy rozwarł szeroko a ustami chwycił powietrze, którego mu zabrakło w tej chwili. Nie wierzył słowom posłyszczanym, choć to mówił ojezec—ach! i jakie wypowiedział słowa. Poczul tylko, że jakiś ogrom szczęścia spadł na niego, którego on ni ramionami obejmie, ni swoim umysłem dziś pojmie. Był dumny i silny zarazem i gdy pan Krzysztof strwożeniemi patrzył na niego oczyma—on uśmiechnął się i rzekł:

— To samo ona i mnie musi powiedzieć!

— Andrzej—na Boga!—zawołał ojezec.—Czyż ty w tem szaleństwie nie widzisz?—

— I dla tego rzekłem, ojeze—że ona te same słowa i mnie musi powtórzyć. Ty wiesz dobrze, że ja do niej żadnego kroku nie zrobię, bo nie mogę—

bo prawa nie mam!... Jeżeli to szal to minie przedko— jeżeli miłość...

Zatrzymał się—

— Bądź spokojny, ojeze. — rzekł poważnie — ja będę jej lekarzem... Przedstawię całą nedoręczność tego uczucia do mnie—całą okropność życia w tym zaścianku, bo o zgodzeniu się Baczyńskiego pomyśleć nie można... Al—dodał, przykładając dłoń do czoła—mnie się w głowie kręci.. Ja ojeze mam gorączkę i ty ją miałeś i niezrozumiałeś słów panny Malwiny— To sen! — Była tutaj wczora, pamiętam jej spotkanie—ale—to sen...

Zakrył oczy dłonią—

— Dałby to Bóg!—odpowiedział stary.

Lekka gorączka powróciła znowu, ale nie mówił nie, tylko usta miał rozpalone i silne na twarzy wypieki. Za każdym skrzypnięciem drzwi obracał się, jakby oczekiwał kogo, ale albo Jagna wślizgała się, albo Aleksy wchodził, albo jakiś pan brat z zaścianka o zdrowie pytać zaszedł.

Andrzej udał sennego, prosił, by nikt nie wchodził do pokoju, zatrzymał tylko Chostynę.

— Aleksy!—rzekł szeptem—czy od Baczyńskich nikt się nie dowiadywał o mnie?

Chostyniecki podrapał się w głowę—

— Przyjeżdżał kozak ze dworu z pismem do mnie.

— Od niej?..

— Tak! Pytała, jak zdrowie twoje ma się— — Pokaż—chęć wiedzieć charakter jej pisma.

Chostyna w milczeniu list podał.

„Panie Aleksy! — pisała Malwina—jak zdrowie pana Andrzeja? Nie ukrywaj nic—pisz wszystko, choćbyś miał zwiastować nieszczęście wielkie. Al dla czego pan Krzysztof tak ze mną postąpił?... Bądź dzisiaj u mnie wieczorem—bądź koniecznie...”

Andrzej czytał ten list i ręka mu drżała.

— Pójdiesz?

— Trzeba—

— Czy ty wiesz, co ona powiedziała ojezu?

— Dziś stary powiedział mi o tem— —

— Co to ma znaczyć?

Chostyna wzruszył ramionami

— Może być kiepska sprawa—rzekł. — Ja znam Baczyńskiego... Niepozwole!

Andrzej przygrzyzł wargi.

— To mniejsza, że niepozwole — rzekł, przymuszając się do spokoju—ale... ale...

Zadrgały mu usta—a z oczu pociekły łzy.

— Uspokuj się, Anderku, bo wieczorem gorączka wróci i ja do Baczyńskich nie pójdę...

— Nie—nie... Ty iść musisz!..

— A będziesz spokojny?

— Będę—

— Tylko powiesz mi wszystko? — rzekł Andrzej po chwili.

— A no powiem, bo rady niema—

Andrzej udawał spokój i o stosownej godzinie wyprawil Chostynieckiego do pałacu.

Panna Malwina czekała go u furki ogrodowej—dostrzegła idącego, podbiegła i zatrzymała w pół drogi.

— Przeczynałam nieszczęście—mów pan, czy nie mu nie grozi?

Aleksy opowiedział o nocy nieprzytomnie spędzonej, ale uspokoił Malwinę obecnym stanem chorego—

— Czy pan Krzysztof nie powoli mi widzieć syna?—spytała, spuszcżając oczy.

— Co prawda, to ja jego nie pytał, ale— — Wy wszystko wiecie, lepiej ode mnie—

— Co ja wiem—co?—spytała panna Malwina.

— Czego sie stary Malecki boi—

— Ja go rozumiem—szepnęła — rozumiem do brze!... i dla tego przebaczyłam.

Oparła się o drzewo, bo serce zaczęło bić mocno.

— Panie Aleksy—rzekła po chwili — pan jesteś szczerym moim przyjacielem?

— A czyżże większy jeżeli nie wasz? — zawołał Chostyniecki.

— Więc—szepnęła—powiedz otwarcie — co pan Andrzej o mnie myśli... bo ja—już powiedziałam jego ojezu—

Chostyna wpatrzył się w mówiącą.

— Ja wim, co to powiedziało sie. Stary mnie mówił—ale... ale...

— To nie żart, to rzecz bardzo poważna—rzekła panna Baczyńska—



— A graf?  
 — Niegadajże pan o nim: — —  
 — A ociec?...  
 W piersi panny Malwiny dech się zaparł — —  
 — Ja nie wiem nic—wiem tylko, co ja zrobię!...  
 Czy pan długo jeszcze u pana Krzysztofa zabawisz?—  
 spytała po chwili— —  
 — Dopóki Anderek na nogi nie wstanie— —  
 — Nie odjeżdżaj pan bez widzenia się ze mną—  
 proszę!...  
 Podała rękę, chciała odejść — ale zwróciła się  
 jeszcze do Chostynieckiego—  
 — Nieodpowiedziałeś mi pan na pytanie—co  
 pan Andrzej myśli o mnie?—  
 — Wiesz ty, królowo moja—lepiej ode mnie?...—  
 odpowiedział Aleksy—  
 — Bo to byłoby okropne! — poszepnęła Mal-  
 wina— —  
 Usta jej pobladły— —  
 — Ależ — jeżeli wy tego... to on nie może—nie  
 tego... Ja wim!...—odezwał się Chostyna.  
 — Pan wiesz?—zawołała Malwina.—To on mó-  
 wił, mów pan—mówił?...  
 — A jakby on mógł nie mówić?... A dlaczego  
 i Malecki tak nie akuratnie się znalazł?... Tylko—  
 ty, Anderek i Baczyński.  
 — Dwie szale—na jednej pieniądze i przesąd,  
 na drugiej miłość!... a ojciec w rękę je trzyma.  
 Wierz mi panie Chostyniecki—miłość przeważa!—  
 Idź! tam pewnie on czeka na ciebie... Idź! a pa-  
 niętaj o co cię prosiłam.—Przez posłańca codzien-  
 nie będę się dowiadywała o z drowie pana Andrzeja.  
 Ty jego bądź duchem dobrym — —  
 Aleksy pozostał sam—teraz i jemu, wszystko  
 to, co widział snem się zdawało. Niechęć stał  
 się powiernikiem dwojga zakochanych, czuł, że  
 wlaź w kabałę, która Bóg wie, jak rozstrzygnięta  
 zostanie. Kochał Andrzeja, nie mniej i tę dziew-  
 czynę szaloną, którą znał od dziecka, do której  
 przywiązał się, jakby ojciec rodzony. Ale jak się  
 to skończy, co na to wszystko Baczyński powie?  
 Dreszcz go przejmował—takie historye kończą  
 się wielkim dramatem.  
 Andrzej z niepokojem oczekiwał przybycia Cho-  
 stynieckiego.—Gorączka jednak nie powiększyła  
 się wcale, choć rozbite czoło bolało bardzo, że stę-  
 kał po cichu. Pan Krzysztof wiedział, że Aleksy  
 poszedł do pałacu nie wiedział tylko, że został przez  
 pannę Malwinę wezwany—lecz był pewny, że z nią  
 się zobaczy, że—może o czemś, obchodzącym go  
 w tej chwili mówić będą.  
 — No cóż?—zapytał wchodzącego—  
 — Pirwej do Anderka—a potem ciebie — —  
 — Idź—idź, a wracaj prędko.  
 Chostyniecki zbliżył się do łóżka.  
 — No co?—zapytał szybko Andrzej.  
 — Albo ja wiem co—ona warjuje.  
 Andrzej za obydwie ręce go chwycił— —  
 — Mów! mów!..  
 Aleksy powtórzył rozmowę.  
 — I co ty na to?—spytał.  
 — Przyjdę do zdrowia, do zmysłów — a potem  
 ci odpowiem—odrzekł Andrzej...  
 Chostyna udał się do pana Krzysztofa.  
 — Nic nie poradzisz, bratku, rozwiązanie Panu  
 Bogu zostawić trzeba.  
 — Klęska!—szeptał Malecki.  
 — Poczekaj, nie gadaj tak jeszcze.  
 — Słuchaj, Aleksy, to dojdzie do tego, że ja  
 przed Baczyńskim stanąć będę musiał.—A co ja  
 mu powiem? co ja mu pokażę? Ten łeb siwy i no-  
 gę urwaną? Dla kogoś może by i to znaczyło, ale—  
 tam?... Ha! niech tylko Andrzej do siebie przyjdzie—  
 a już się na to nieszczęście poradzi.  
 Innej pociechy nie umiał znaleźć—czuł, że łeb  
 pęka i w głowie się miesza.  
 Na dzień następny, Aleksy korzystając ze snu  
 Andrzeja, wybrał się do Banasiewicza. Został pan-  
 na Ignacego, jak cepełm żyto walił. Pierwsze to  
 były snopy zżęte, napół zaledwie dojrzałe, ale wed-  
 ług mniemania wiejskich gospodarzy, z takiego  
 zboża chleb jest najlepszy.  
 — Aha, *swidne* żyto młóćcie?... — rzekł Cho-  
 styna.  
 Banasiewicz był pod dobrą datą.  
 — Psia robota—i gdyby nie ta kwatyrka od Litwy,  
 toby człek nie zdurzał.—Stuknijmy się, panie Cho-  
 styniecki.

— Stuknijmy się.  
 Wypili.  
 — Panie Banasiewiczu, ja do was, taj z prośbą.  
 — I owszem—a co tam?  
 — Podobała się mi wasza dziewucha—dacie mi  
 ją za żonę?  
 Pan Ignacy zastanowił się.—Bądź co bądź, zaw-  
 sze potargować się trzeba.  
 — A kiedy ja nie wiem, jak tam Jagna na was  
 patrzy.  
 — Już my się przymówili.  
 — To stuknijmy się—zawołał Banasiewicz.  
 Stuknęli się i popłakali się, jak bobry.  
 Chostyna dla panny Banasiewiczówny był par-  
 tyą nie lada. Takiego szczęścia ani pan Ignacy,  
 ani jego małżonka nie spodziewali się wcale. Ra-  
 dość była więc okrutna i wielkie we trójkę picie.  
 Pan Ignacy wy dostał wiszniaku i przepił do przy-  
 szłego zięcia, wypaliwszy przed tem przedmowę,  
 ażeby szanował Jagnę. Aleksy upewniał, że u Pa-  
 na Boga za piecem lepiej jej nie będzie i zwrócił  
 się do pani Ignacowej, która nie była: *baj*  
*bardzo* od kieliszka. Poszła kolejka od wacpana  
 do wacpani i od wacpani do wacpana, aż rozwiązały  
 się języki i siarczystymi humorami się stały.  
 — Pij Leksy—bo kotal już Banasiewicz... bo  
 mówię ci szczyrze, co to nie żadna woda, tylko czy-  
 sty spirytus, jak pan Bóg przykazał. Takim i świę-  
 ty nie pogardzi, bo mówię ci, Leksy, co to prawdzi-  
 wy spirytus. Stuknijmy się!—A ot i Jagna od An-  
 derka wracająca.  
 Jagna zatrzymała się w progu, domyślała się  
 z jakiej to okazji taki poczęstunek i poczerwieniała,  
 niby piwonja.  
 — Jagna — odezwał się Banasiewicz — pódz tn,  
 ociec woła!  
 Jagna zbliżyła się.  
 — No—ty wiesz, co to nie innego, tylko przyje-  
 cie Chostyny do naszej familii.—Ale znaj, córko—  
 co ja ociec, nie tyran jaki.—Chcesz iść—dobrze!  
 a nie chcesz—to trudno! ja nie siłuję, bo ja dobry  
 ociec nie tyran jaki.—No—mów! może nie chcesz?  
 Gadaj, jak przed rodzicem należy. Może nie  
 chcesz?  
 — Chcę—odpowiedziała Jagna, oczy spuszcza-  
 jąc.  
 — No to stuknijmy się!—Wiwaaa! — wrzasnął.  
 i zwał się na ławę— —  
 Pani Ignacowa utrzymywała się jeszcze na no-  
 gach, ale mówić nie mogła. Język jej kołkiem  
 stanął — śmiała się tylko piskliwie — ocierając  
 łzy z oczu.  
 — Chi-chi-chi—i nie nadto.  
 W dobrym humorze był i pan Aleksy ale trzymał  
 się. Posadził Jagnę na kolanach i szeptał:  
 — Oto szczęście, jakiego nie spodziewał się.—  
 — Chi-chi-chi—śmiała się pani Ignacowa a Ba-  
 nasiewicz chrapał, jak się zdrowemu szlachcicowi  
 należało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z WIEDNIA.

1 Grudnia.

Zgon hr. Edwarda Taafego jakkolwiek oddawna  
 przewidziany, sprawił tutaj niepoślednie wrażenie,  
 pomimo, że hrabia umarł zdala od Wiednia, w ma-  
 jątku swoim Ellischau, dokąd napływają tysiące de-  
 pesz i listów kondolencyjnych.

Od wczesnych lat hr. Taafe pełnił obowiązki pań-  
 stwowe, zajmując coraz wybitniejsze stanowisko po-  
 lityczne, dość powiedzieć, że na trudnym stanowisku  
 prezesa ministrów wytrwał przez lat czternaście.

Zmarły mąż stanu pochodził z rodziny irlandz-  
 kiej oddawna osiadłej w Austrii. Miał on wielki  
 wpływ na cesarza Franciszka Józefa, jako dawny  
 towarzysz jego, gdyż wychowywał się razem z ce-  
 sarzem, odkąd właśnie datowała się ich wzajemna  
 przyjaźń i zaufanie, jakim go cesarz obdarzał.  
 Z tego też zapewne powodu miał hrabia wielu za-

zdrośnych, a więc niechętnych sobie. Szczególnie  
 Niemcy austriacy nie mogli mu przebaczyć zła-  
 mania ich potęgi przez przeobrażenie wewnętrznych  
 politycznych stosunków Austrii; byli też jawnymi  
 nieprzyjaciółmi Taafego. Taka nieustanna walka  
 z nieprzyjaciółmi wycieńczyła przedwcześnie orga-  
 nizm, albowiem b. prezes ministrów liczył w chwili  
 śmierci dopiero 62 rok życia, czego przecie nie mo-  
 żna nazwać późną starością.

Do kroniki politycznej należy też zapisać rozmaite  
 awantury antysemitki tłumy chłystków, rozszala-  
 łych kobiet i ulicznej gawiedzi, jakie niedawno  
 odbyły się na galeryach parlamentu. Te awantury  
 oraz skandale i burdy podczas obchodu uroczystości  
 S-go Leopolda na Kahlenbergu, przekonały naresz-  
 cie rząd o koniecznej obronie i kontroli przy wpuszc-  
 zaniu publiczności do parlamentu. Od tej chwili  
 ustanowiono kontrolę biletów wejścia na galerię  
 parlamentu i dodano osobnego urzędnika dla utrzy-  
 mania porządku.

Na szczęście hr. Badeni dał sobie radę, z rozna-  
 miętnionym tłumem.

Wartoby również, aby pan prezes ministrów  
 wziął się jeszcze do usunięcia wielkiej plagi  
 w Wiedniu, jaką jest nadmierna gra akcyami,  
 w wielkim stopniu ułatwiona przez kantory giełdo-  
 we. Spekulacje takie pogrążają tysiące ludzi  
 w bezdenną otchłań nędzy i rozpacz, co mianowi-  
 cie miało tu niedawno miejsce po pierwszych po-  
 głoskach o wypadkach wschodnich. Panika, jaka  
 wtedy ogarnęła giełdę, dała znaczną i nagłą zniżkę  
 kursów, a z nią klęskę dla wielu ryzykownych gra-  
 czów.

Pomimo takich chwil nieprzyjemnych pociechy  
 Wiedeń bawi się o ile może. Co prawda, niepokój  
 na giełdzie opustoszył na kilka dni wszelkie miej-  
 sca zabaw publicznych, dziś jednak, kiedy umysł  
 powoli się uspokoił, sale koncertowe i teatru nor-  
 malny przedstawiają widok. Szczególnie podczas  
 pobytu tutaj Mascagni'ego tłumy ludzi cisnęły się  
 do teatrów i wogóle wszędzie, gdzie tylko sławny  
 mistrz się ukazywał. Słowem przyjmowano tu  
 maestra włoskiego z niesłychanym zapałem. Ko-  
 bie.y ślały mu wieńce, bukiety, albumy i rozmaite  
 inne drobniaki pamiątkowe. Fotografii mistrza ro-  
 zeszyły się tysiące egzemplarzy.

Teatru sypią zacięcie premjerami, pomimo żeśmy  
 już ich mieli dość od początku sezonu. Wiele  
 z nich zasługuje na wyróżnienie.

Jedną z dawniejszych premjer tego sezonu było  
 wystawienie w operze cesarskiej dramatycznej ope-  
 ry Masseneta: „La Navarraise.“ Orkiestrą dyry-  
 gował sam kompozytor. Śpiew p. Renard, wspania-  
 ła mise-en-scène, przesłiczna instrumentacja  
 wywołały wielki entuzjazm pośród publiczności.

W Burgu odegrano w zeszłym miesiącu dramata  
 młodego poety Artura Schaitzlera p. t. Liebele.  
 Temat prosty, wzruszający i sztuka doznała zasłu-  
 żonego powodzenia. Rola p. Sandrock wypadła  
 świetnie.

Poprzedniczką tego dramatu była sensacyjna  
 sztuka Giacomiego „Prawa duszy“ z piękną grą p. Ho-  
 henfels; wywołała również słuszne objawy uznania.

Sudermana „Szczęście w zakątku“ również wysta-  
 wiono w Burgu po raz pierwszy. Pomimo dosko-  
 nałej gry Adeli Sandrock i Mitterwurzera w roli  
 barona, głównej figury w sztuce, nowe dzieło  
 się nie podobało. Treść grzeszy jaskrawą nie-  
 prawdą kompozycji i wieloma błędami techniki.  
 Dialog bez siły, bo bez prawdy; zakończenie zupełnie  
 chybione. Autor wystawił sztukę najpierw w Wie-  
 dniu dla dobrej gry aktorów, ale i oni sztuki nie oc-  
 lili. Od czasu niedawno ukończonego procesu s dy-  
 rektorem Volkstheatru Sudermanowi w Wiedniu się  
 nie powodzi. Tak „Koniec Sodomy,“ jak i „Szczę-  
 ście w zakątku“ szczęścia u wiedeńczyków nie za-  
 znały. To samo da się jeszcze zastosować i do  
 ostatniej premjery w Burgu. „Dyrektor z mini-  
 steryum,“ nie wiedział co z sobą zrobić w poważnym  
 Burgu, a najlepiej by uczynił, gdyby się conajprę-  
 dziej postarał wynieść z tego domu.

We wspaniałe odświeżonym Karleatrze wysta-  
 wiono „Model,“ w którym wystąpiły trzy gwiazdy  
 operetkowe p. p. Adolfinę Zimajerową, Berta Sto-  
 jan i Kopaczi-Korczag, zapewniając odrazu powo-  
 dzenie sztuce.



Ostatnią nowością w tym teatrze była „Prima ballerina,“ doskonały wodewil z p. Zimajerową i Kopacz na czele.

Ta ostatnia w roli tancerki daje na scenie próbkę baletu, trochę zanadto nieubranego, a więc arcyplikantnego, muzyka i wystawa wyśmienita pomagają do wielkiego powodzenia.

W samym początku paniki giełdowej Deutsches Volkstheater wystąpił z premierą sztuki Karlweiss'a p. t. Złote serce.

Jest to ostra satyra przeciwko wszelkiego rodzaju faryzeuszom, jakich nie brakuje w każdej klasie społeczeństwa.

Przedewszystkiem odbierają tu chłostę dobroczynne damy; próżniacy z pretensjami do artyzmu, dziennikarze, i t. p. figury, żywcem z natury schwytane a w kilku wyborzych scenach doskonale scharakteryzowane.

Kto zna miejscowe stosunki, może ubawić się wyśmienicie.

W tym że samym teatrze, młody autor, J. Dawid, wystawił z powodzeniem swój „Dzień deszczowy“ osnuty na tle z życia młodej wiedeńki. Główną rolę odgrywa tu młoda, trzpiotowata, wesoła ale uboga baronowna, która dla gwarne go życia stolicy wyrzeka się bogatego narzeczonego, żądającego, aby młoda żona zamieszkała z nim na wsi.

Nie wszystkie jednak dzieła miały takie powodzenie w tym teatrze. Berliński dyrektor teatru, Blumenthal, wystawił w nim swoją „Gräfin Fritzi,“ która upadła po pierwszym przedstawieniu.

Z bardzo dobrą sztuką Buchbindera wystąpił teatr Rejmunda p. t. „Heiratschwindler.“ Tytuł, co prawda trochę nie odpowiedni w każdym razie fraszka ta bawi nadzwyczaj wesołą i szybką akcją, do czego przyczynia się także doskonała jej obsada.

Przed kilkoma dniami panował w tym teatrze wielki rostrój, spowodowany niezadowolaniem udziałowych artystów i autorów na dyrektora tego teatru, Müllera-Gusterbrunn'a za kosztowne urządzenie wystawy sztuk. Całe zajście jednak już się uspokoiło, co dla sceny wyjdzie na pożytek, bo dyrektor ten ogólnem zdaniem doskonale teraz prowadzi.

„Zły ojczym“ wystawiony w Josefstädterteatrze pomysłem przypomina zwykłe farsy francuzkie. Taka sztuka może się utrzymać zapomocą wybornej gry aktorów, co też rzeczywiście ma miejsce i od zagłady ją ratuje. Szczególniej doskonałą jest w roli komicznej młoda aktorka, Pohlmeiser, trzymająca widzów w nieustannym śmiechu.

Oprócz tego wystawiono w zeszłym tygodniu w tym samym teatrze doskonały wodewil „Les brebis.“ Muzyka dobra, akcja głównie odbywa się w pensjonacie panien, gdzie pomimo arcykomicznych wydarzeń pełnych doskonałego humoru i dowcipu, nie przynosi ujmy przyzwoitości. Sztuka wypełnia teatr za każdym przedstawieniem.

Podobno w Au der Wien szykują nową operetkę Strauss'a. Przedtem wystawiono „Złotego kamrata“ Hirszla z muzyką Roth'a. Akcja odbywa się w kopalniach złota w Ameryce, dostarczając wiele charakterystycznych scen i figur.

Oprócz tego „Wilhelm Tell“ Schillera, odegrany przez robotników, wywołał entuzjazm w tejże klasie i zapełnił kilkakrotnie kasę teatryku Jantsch'a w Praterze.

Kwestya kobieca, tak namiętnie tutaj podnoszona od pewnego czasu, chyba już doszła do swego kulminacyjnego punktu, gdyż słowa cesarza spowodowały przynajmniej dla węgierki zupełną zmianę położenia w tej sprawie. Cesarz usankcjonował dwa wydziały, na które kobiety uczęszczać będą mogły, mianowicie na filozofię i na medycynę. Wszystkie tedy zawody, oprócz prawniczego są na Węgrzech dla kobiet otwarte; że zaś niekiedy nie ma pod tym względem ograniczeń przy obronach prawnych, więc i w charakterze prywatnych obrońców sądowych będą mogły występować kobiety. Przytem nastąpił jeszcze taki układ pomiędzy Węgrami i Austrią, że kobiety dyplomowane w Peszcie będą uznawane przez senat uniwersytetu w Wiedniu i będą miały prawo praktykowania w całej Austrii. Takie postanowienie prowadzi do rychłego przypuszczenia kobiet na uniwersytety w całym państwie, boć to prawie na jedno wychodzi.

Co więcej doktorki wszelkich obcych uniwersytetów będą mogły poddawać się egzaminowi w Peszcie, uzyskać dyplom węgierski i na jego mocy praktykować po całym kraju.

Tak więc w życiu ekonomicznem całego państwa nastąpi poważny zwrot, rozstrzygający pewne strony kwestyi kobiecej, aby tylko z zadowoleniem ogólnem mężczyzn, którzy słusznie mogą się obawiać silnej, a więc obniżającej cenę pracy konkurencji. Sądzę, że obecnie kwestya najbardziej palącą w tej całej sprawie będzie to, ażeby wynaleść dla kobiet drogę do zawodów takich, które nie są jeszcze spełnione przez mężczyzn. W przeciwnym razie musi nastąpić nieunikniona kolizya, która w przyszłości mogłaby ułożyć się bardzo niewygodnie.

Można też nazwać bardzo rozumnym, że tak wielkiej wagi reforma dokonywa się bardzo powolnie, dając możność ocenienia nabytego w tym względzie doświadczenia, od którego dopiero dalszy rozwój całej sprawy kobiecej, zależeć powinien.

Ogół patrzy na usiłowania kobiet bardzo przychylnym okiem, aby tylko kobiety umiały utrzymać należytą miarę i powagę na swem nowem stanowisku. To będzie probierzem całego ich powodzenia.

Dwie nader interesujące wystawy przyniosł nam obecny sezon.

Najpierw na 25-letni jubileusz towarzystwo produkcyjne urządziło wystawę sztuki graficznej. Mało są znane nazwiska wystawców; są to jednak doskonały artyści, rozumiejący zadanie sztuki, wkładający w każdy odtwarzany przedmiot cząstkę swej indywidualnej natury. W tem gronie najznakomitszym technikiem jest Niemiec Max Klinger, dalej szwajcar Stanffer z Bernu, litograf Hans Thoma, holendrzy: Kroyer i Veth, szwed Zorn, z francuzów Delatre, Rops i cały szereg innych; kilku anglików są też na tym polu wybitnymi mistrzami. Sale drzeworytów zachwycają oko malowniczą stroną amerykańskich i japońskich rysunków. Chcąc dobrze pojąć, czym jest dziś sztuka rysownicza i drzeworytnicza, tak odpowiadająca ogólnej potrzebie i zamiłowaniu do rycin, należałoby bardzo wiele o tem pisać, gdyż nastąpiło prawdziwe odrodzenie w tym kierunku sztuki.

Szkoła sztuki stosowanej do przemysłu (Kunstgewerberschule) urządziła drugą wystawę sztuki praktycznej. Kilkanaście oddziałów tej szkoły równej chyba w świecie nie mają. Pośród przedmiotów wystawionych wydaje się bajeczną, pomiędzy niemi mnóstwo okazów, sprzedają względnie niedrogo. Z imion polskich odznaczyli się uczniowie. Taraszczuk i Podgórski.

Rzeźbiarz wiedeński Tilgner wykonał już model pomnika dla Makarta. Wspaniały posąg spiżowy stanie w parku miejskim na Ringstrasse.

Oswald.

## Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż kurs monety złotej, oraz kwitów depozytowych w złocie oznaczonym został do przyjmowania w instytucjach rządowych na 14 rs. 80 kop. za imperyał, za pół imperyał 7 rs. 40 k. Postanowiono też bić na przyszłość monetę 20, 15, 10 i 5 kopiejkową z czystego srebra, z jakiego biją się ruble srebrne, natomiast wycofane będą z obiegu miedziane pięcio kopiejki, z których wybite zostaną w wielkiej ilości kopiejki i pół kopiejki. Obok tego ogłoszonym został rozkaz przyjmowania monety złotej według kursu przy wszystkich wypłatach i wpłatach przez kasy rządowe, oraz kasy kolejowe towarzystw prywatnych.

— W celu dostarczenia ubogiej ludności Warszawy wody filtrowanej, wydano jej bezpłatnie w roku bieżącym w różnych częściach miasta 762,105 wiader.

— Zarząd warszawskiego Towarzystwa dobroczynności wyznaczył komitet, który przy udziale wykonawcy testamentu D-ra Spaskiego zajmie się sporządzeniem listy rodzin najuboższych, zakwalifikowanych do wsparcia z funduszu 15,000 rs., za-

pisanego na ten cel przez nieboszczyka. Wypłata wsparć nastąpi w połowie bieżącego miesiąca.

— Do zarządu kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia Mianowskiego, wybrano ponownie na lat dwa: p. Antoniego Okulskiego na prezesa, p. Piotra Chmielowskiego na wice-prezesa, p. p. Stanisława Libickiego na sekretarza, p. Karola Dejkego na kasyera. Obok tego zaproszono p. Feliksa Kucharzewskiego na członka komitetu kasy.

— Po wykończeniu robót w nowo-wzniesionej kaplicy Rodziny Przenajświętszej w kościele Reformatów i odsłonięciu ozdobnego wejścia, odpowiadającego stylem całości, zaczęła budować ołtarz. Kaplica stanowiąca powiększenie kościoła, a mogąca pomieścić około 400 pobożnych, ogrzewaną będzie w zimie.

— Zakłady, obejmujące przytulki noclegowe, tanie kuchnie i domy zarobkowe, pozostające w zarządowaniu Towarzystwa przeciw żebraczemu, powiększyły się o nowy budynek, otwarty na placu Broni.

— Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapis ś. p. Gustawa Trzaskowskiego, właściciela dóbr ziemskich Goslub, który przeznaczył ostatnią swoją wolą 9,000 rs., na rzecz trzech kas pożyczkowych dla rzemieślników warszawskich, obok tego 30,000 rs., zapisanych krewniej swojej, Irenie Skarzyńskiej, na przejść w razie jej bezdzietności na rzecz warszawskiego Tow. Dobroczynności. Towarzystwo otrzymało i zapis drugi, 14,700 rs., od ś. p. Augusta Rucińskiego, na fundusz żelazny, od którego dochód przeznaczonym został na rozpowszechnienie wiadomości technicznych i rzemieślniczych między ubogimi chłopcami wyznania rzymsko-katolickiego, z pierwszeństwem dla sierot po urzędnikach sądowych z zastrzeżeniem, aby procenta pobierały do śmierci siostry zapisodawcy.

— W dobroczynnym zakładzie taniych kuchni posila się codziennie od 600 do 800 osób. W r. 1894 spożyto tam 5,000 pudów mięsa, 325 p. masła, 200 p. ryb, 640 mąki, 1,700 chleba, 980 kapusty, 60 korcy kaszy, 3 korce grochu i 828 kartoffli. Na zakup tych wiktuałów wydano 44,608 rs. Dochód przedstawia 52,762 rs., koszta administracyi 8,000 rs. W ostatnich dniach zeszłego miesiąca, ogłoszono zawiadomienie, iż zbadaną była higieniczność potraw i rewizya urządzeń kuchennych, w czem wzięli udział p. p. D-r Polak, D-r Markiewicz, oraz p. Sochacki, starszy zebrani kucharzy i kilku członków Tow. Dobroczynności.

— Jak bardzo rzemieślnicy warszawscy pragną się kształcić w rysunku pojmując, iż bez tego nie udoskonalą się w kunszcie swoim, jest dowodem, iż sala, przeznaczona do kopiowania w Muzeum rzemiosł jest zawsze przepełniona. Kopiujących jest 200 osób, przeważnie stolarzy, ślusarzy i malarzy pokojowych.

— Wyprawa do Afryki, zorganizowana przez hr. Józefa Potockiego, zbiera się w Krakowie, skąd wyruszy do Londynu, gdzie zaopatrzy się w przedmioty potrzebne do tego przedsięwzięcia, następnie zatrzyma się na wybrzeżu afrykańskim i sformowała wyprawę karawanę, puści się w głąb. Wyprawa ma trwać lat cztery.

— Akademia krakowska przyjęła do komisji historii sztuki p. p. D-ra Konstantego Górskiego profesora w Krakowie, księdza Józefa Bilewskiego, profesora uniwersytetu we Lwowie, oraz Witolda Rubeżyńskiego w Rawie ruskiej.

— Krakowskie Tow. Ogrodnicze otrzymało subwencya w kwocie 500 zł. reń., na prowadzenie kursu wykładów wieczornych, na które dopuszczone są i kobiety. D-r Bosłowski, docent uniwersytetu, wyklada dla kobiet kurs nauki opatrywania ran, prowadzony w sposób praktyczny, lecz korzysta ich stonkowo bardzo mała ich liczba.

— Połączenie telefonowe Krakowa z Wiedniem przez Ostrowę Morawską, Frydek, Bielsko, Dziedzięce, nastąpi wkrótce, bo przed Nowym Rokiem, przecież dla użytku powszechnego telefon działać będzie dopiero w roku przyszłym, po przymocowaniu jednego jeszcze drutu.

— Piotr Stachiewicz wykonał obraz olejny większych rozmiarów, zatytułowany „Pierwszy siew,“ a przedstawiający scenę z życia włościan w Galicyi wschodniej, a przedmiot wzięty został ze zwyczaj-



ju ludu miejscowego. Wieśniak przy pierwszej pracy siewu stawia na świeżo zaoranej niwie zapaloną świecę woskową, kładąc obok bochenek chleba i woreczek zboża. Artysta zamierza wysłać to dzieło sztuki na wystawę do Berlina. Na wystawie ściąga widzów obraz Antoniego Piotrowskiego „Zwycięstwo cnoty.“

— Profesorowie gimnazjalni urządzili za staraniem Towarzystwa oświaty odczyty, które trwają mają przez wszystkie miesiące zimowe. Przyłożyli się do tego i literaci, odczyty odbywać się będą w gmachu gimnazjum S-tej Anny. Odbywają się też odczyty w Związku literackim, ostatni z wygłoszonych podawał słuchaczom sąd o poezjach Jana Kasprowicza.

— W Wiedniu ogłoszony został przez Semersa, artystę Burgtheatru ustęp z Jeruzolimy wyzwolonej, a obchodziło tu właśnie bardzo uroczyste katolickie stowarzyszenie Leo trzechsetną rocznicę urodzin poety, który stworzył to nieśmiertelne arcydzieło.

## Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

### Pięciolist. — Ukochana córka.

Gdy deszcz pada przez długi czas, listki tej rośliny przybliżają się i pochylają nad kwiatem, jakby dla opieki i ochrony: rzekłbyś matka, czuwająca nad ukochanym dzieckiem.

Poznaję Boga w jego dziełach, jak poznałem matkę moją w jej pieczy. (De Gérando).

### Poziomka. — Dobroć.

Poziomka lubi nasze lasy; pokrywa polanki doskonalymi owocami, które należą do wszystkich co je tylko mają ochotę zrywać. Jestto dar, który przyroda wyjęła z pod ogólnego prawa własności osobistej a lubi rozdzielać zarówno między wszystkie swe dzieci. Wszędzie te miłe wonne jagódki, walczyć mogą o pierwszeństwo w świeżości i zapachu z pęczkiem najpiękniejszego kwiatu, przyjemne dla smaku, miłe dla oka.

Dla każdego dziecka szczytem dobroci jest jego matka; przyznać należy, że trudno o szczęśliwsze i trafniejsze uosobienie.

To też jak często podsłuchać można niezrównane naiwne gawędki ogniska rodzinnego, które rozjaśnia i rozwesela najchmurniejszy stan duszy.

### Matka i dziecię.

*Dziecię.* Jakto, więc to Bóg stworzył, wszystkie nasze kwiaty?

A zkad wziął barw tysiące, na róże, bławaty?

*Matka.* Oto po nagiej ziemi poczał wodzie wzrokiem,

I ziemia zakwitnęła, stokrotką, fijołkiem,

Co to widzisz dziecinko, uśmiech Boga może!

*Dziecię.* Ależ to prawda moja mamó droga!

To chyba wszystko w świecie stworzone przez Boga!

*Matka.* Wszystko, wszystko me dziecię, ziemia, niebo, morze,

I to na co spoglądasz, co znasz i co czujesz,

*Dziecię.* Ej, moja mateczko, ty chyba żartujesz, Czyż ciebie Bóg dobry dla mnie także stworzył?

*Matka.* Jakto mnie? bez wątpienia, zkad zdzienienie twoje,

Chłopczyk się do odpowiedzi długiej nie sposobił, Ale patrząc miłośnie w matki oczu dwoje,

Rzekł: Co to za trudna sprawa, musiała być w niebie,

Aby stworzyć tak dobrą mateczkę... jak ciebie!

Wielkie serca mogą jedynie zrozumieć ile jest chwały w dobroci. (Sofokles).

Dobroć jest zaletą, z której możemy odnieść w świecie najwięcej korzyści.

Powiadają, że w świecie nie ma wiele sposobności do czynienia dobrze. Sąd ten dowodzi wielkiej nieświadomości w sprawach dobroci; jeżeli nie zawsze można wyświadczać wielkie usługi, nie ma też i dnia z pewnością, w którymby nie dało się nam pracować nad polepszeniem doli naszych bliźnich. W towarzystwie będzie to chęć odgadywania życzeń, wyświadczenia usługi; w rodzinie słodycz, która sprowadza spokój, mądrość co go ustala; w postępowaniu ze służącymi objawi się w postępowaniu łagodnym i roztropnym, co usuwa i łagodzi nieprzyjemności służalstwa, ale przeciw szacunkowi i porządkowi nie wykracza.

Rada udzielona potrzebującemu, trwoga uspokojona, kłopot i zmartwienie ulżone: oto obraz mnóstwa usług, a sposobność do nich przynosi nam każda chwila.

Jakież to piękne żniwo do zapełnienia każdej godziny naszego życia. W rzeczywistości, jestto praktyczne zastosowanie dobroci. Koniecznym jest nie ustawać i ćwiczenia nigdy nie zaniedbywać.

Śmiało upewniam, że w ten sposób życie dla bliźnich użyte byłoby tajemnicą prawdziwego i ciągłego szczęścia, a słusznie; przyswajając sobie każdą uciechę bliźnich, wszak to jakbyśmy mieli wiele dusz do odczuwania każdej dobrej i radosnej chwili.

Dobroć przyciąga i ustala, a czyż to nie jest zbliżaniem do nieba przez zbliżanie do siebie.

Dobrzy ludzie jak wiecie, czynią dobre kraje.

Dobre serce wytwarza, dobre obyczaje,

Dobry rachunek, dobrych przyjaciół ustala,

Dobry plon, ziomka dobrego zachwała,

Dobra książka, dobra to sercu przysługa,

Gdy pan dobry to i dobry bywa sługa.

W dobrych ramionach miecz dobrze błyska

A i smak dobry, w dobrem piśmie tryska.

Dobry mąż żony się dobrej doczeka  
A dobra żona dobrego pojmie człowieka!

### Rezeda. Ukryte cnoty; skromne zasługi.

Ani wzniosłej łodygi, ani olśniewających barw nie ma w skromnej rezedzie, ale zapach jej tak miły, że Lineusz z ambrozyą go równa. Oto dla czego rezeda stała się miłym symbolem ukrytych cnót.

Razu pewnego, (jak poczynają się wszystkie opowiadania) w niemieckiej wiosce, której imie wyszło mi z pamięci, żyło młode, i bardzo piękne dziewczę. Natura wysiliła się, aby ją obdarzyć przymiotami, chociaż nawet część ich jedna, mogłaby wystarczyć do hojnego uposażenia; na nieszczęście, nasza panienka było trochę próżną i rozstrzepaną. Jej krewna i przyjaciółka, młoda sierota, przeciwnie, nie miała ani jednej zewnętrznej zalety, co podbija serce i więzi oko, ale zato najmiłsze cnoty, zdobyły zacząć jej duszę. Dnia pewnego, znalazły się obie w świetnym i licznym towarzystwie, bawiono się w grę powszechnie lubianą.

Wszystkie panie obecne wybrały nazwy kwiatów, a jedna z osób wybranych przez większość głosów, miała każdemu nadać znaczenie. Piękna Amelia z dumą przypięła różę do swego stanika, jakby wyzywając swe towarzyski: niech się, która z was ośmieli do mnie przyrównać; jestem królową piękności, jak róża kwiatów. Jej przyjaciółka wybrała skromnie gałązkę rezedy, ukrywając się na pół za pyszną Amelią. Bogaty hr. von Walstheim, zabrał się z kolei do spełnienia roli, którą muznaczono.

Pod zwycięzką różą napisał: „Jeden dzień żyje, chwilę bawi oko, a potem, gałązce rezedy przyznał dewizę: Zalety jej, przewyższają wdzięki.

Kilka dni potem, chcąc dowiedzieć, iż woli skromne cnoty od zewnętrznych powabów, prosił o rękę łagodnej Lotti.

Związek ten był szczęściem dni jego, co uwiecznia gałązka resedy, dorzucona do świetnych herbów rodziny hr. von Walstheim.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, ark. 1.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Książki dla dzieci i młodzieży, przez M. I. — Pogawędka, przez ?? — Od kolebki do mogiły, przez Jadwigę S. — Kazimierz Gliński. Kłeska Powieść (dalszy ciąg). — Z Wiednia, przez Oswalda. — Z bieżącej chwili. — Co mówią kwiaty, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

**Dodatek obejmuje:** Czy to miłość? powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego ark. 1. Przegląd mód. 39 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.